

Powrót
do Nałęczowa
Wiesława
Bancarzewska



Wydawnictwo Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013
Text © copyright by Wiesława Bancarzewska, 2013

Projekt okładki Katarzyna Borkowska
Zdjęcie na okładce © iStockphoto.com/Peter Zelei

Książka jest fikcją literacką. Wszelka zbieżność nazwisk i zdarzeń jest przypadkowa. Jednakże przedwojenny Nałęczów oraz przedwojenny Inowrocław są przedstawione w sposób możliwie bliski rzeczywistości. Niektóre postacie są autentyczne i żyły w tych miastach w latach 1932–1933, pozostałe zaś są fikcyjne.

Cresc 1

Moją ukochaną zabawką była czterodrzwiowa szafa z jesionowego drewna. Wystarczyło wejść do środka, by od razu zamieniła się w brzuch wieloryba albo w kopalnię złota.

– Nasza landara stoi tu już sto lat, na pewno przyrosła do parkietu – powiedział kiedyś tata, oglądając pękający fornir na nogach szafy.

Podobał mi się świat, w którym meble przyrastają nogami do podłogi, podobało mi się imię szafy, takie niespotykane: Landara. Podobało mi się wiele innych rzeczy, na przykład to, że na niebieskim talerzu zawsze leżały ptysie, wuzetki, napoleonki i rurki z kremem.

Moi rodzice mieli małą ciastkarnię, w domu mówiło się z dumą, że tata piecze najlepsze ciastka w Toruniu. Mówiło się również, że trzeba sprzedawać ciastka, aby zarobić na chleb. Takiej zawilości to już nie mogłam pojąć. W wieku pięciu lat z dużą ostrożnością odnosiłam się do dziwnych wypowiedzi dorosłych, podejrzewałam, że chcą ze mnie zakpić.

Tak samo było z kotem.

Miał zagadkowe imię: Pan Kot. Dlaczego rodzice każą mi zwracać się do kota jak do obcego człowieka? Wolałabym, aby nazywał się zwyczajnie: Ciciuś albo Bonifacy.

Pan Kot przeważnie spał. Mama powiedziała, że jest stary i należy mu się spokój. Stary? Na pewno udawał, wcale nie

wyglądał na starego. Ale kochałam Pana Kota, zawsze razem wchodziliśmy do jesionowej szafy.

Raz w miesiącu mama szykowała paczkę dla babci. Siedzieliśmy z Panem Kotem na dywanie i obserwowaliśmy, jak do kartonu po margarynie mama wkładała kruche ciasteczka, czekolady, kawę, kakao, ciepły szlafrok, a na końcu nadziewany batonik. Ten batonik był bardzo ważny. Tata śmiał się, że jest podwójnie nadziewany: między sreberko a papierową opaskę z napisem „Danusia” mama wsuwała kilka banknotów. Potem owijała paczkę szarym papierem i przynosiła duży kłębek sznurka. Właśnie na tę chwilę czekał Pan Kot. Zaczynała się zacięta walka o sznurek. Zawodników było dwoje: mama i kot, który miał ochotę na łowy. Szarpanina kończyła się remisem: mamie udawało się obwiązać paczkę, wypłatała nawet zgrabną rączkę do niesienia, a wyczerpany zabawą kot kładł się na poduszce i głośno dyszał. Naprawdę był stary.

Tak jak w s z y s c y w rodzinie. Nawet mój brat nie wyglądał młodo, nosił brodę, a sprzedawczyni ze sklepiku, w którym kupował papierosy, mówiła do niego: „panie Wojtku”.

W tamtych czasach nie wiedziałam, że istnieje śmierć i że to niebezpieczne mieć starą mamę i starego ojca.

Rodzice żyli długo.

Ja miałam ich krótko, zaledwie trzydzieści pięć lat.

Wiem co to niedosyt, tak nazywa się moja choroba.

Wojtek wyjechał z Torunia, mieszka teraz daleko, dalej już nie można – w Wellington.

Ale nie jestem sama, mam Bartka.

Poznałam go przy grobie rodziców, w Zaduszki (co daje wiele do myślenia). Podszedł do mnie i pożyczył zapałki, których do dziś nie oddał. Twierdzi, że to najważniejsze zapałki w jego życiu – od siedmiu lat jesteście razem.

Bartek na pewno spodobałby się rodzicom:

Mamie – bo lubi koty i potrafi upiec suflet.

Ojcu – bo zna się na żartach i ma fach w ręku (jest elektrykiem, inżynierem wyspecjalizowanym w budowie elektrowni wiatrowych).

Im obojgu – bo mnie kocha i ja jego też.

Nigdy nie zawiódł mojego zaufania.

Nigdy nie doszło między nami do poważnej kłótni.

Nigdy nie nudzimy się we własnym towarzystwie.

Takich „nigdy” znalazłoby się dużo więcej, jednak nie dlatego, że jesteśmy chodzącymi ideałami, a nasz związek powinien trafić do *Księgi rekordów Guinnessa*. Powód jest prosty – mieszkamy osobno; on u siebie i ja u siebie, w mieszkaniu, które odziedziczyłam po rodzicach.

Czasem, przy śniadaniu, proponuję swojemu elektrykowi zmianę adresu.

– Bartuś, dlaczego my się tak męczymy? Przeprowadź się do mnie na stałe.

– Pomysł jest, ale wymaga dopracowania. Może sprzedasz te salony i przeniesiesz się do mnie?

– Wiesz przecież, że nie mogę. Szafa przyrosła do podłogi, nie zostawię jej na poniewierkę u obcych ludzi.

– Racja, lepiej nie zadzierać z Towarzystwem Opieki nad Starymi Szafami.

Oboje bawimy się taką rozmową, dobrze wiedząc, że nic się nie zmieni. Nasz układ mieszkaniowy jest prawie idealny.



Była ostatnia sobota czerwca.

Bartek nacisnął guzik domofonu, usłyszeliśmy brzęczyk zamka, a zaraz potem miły głos powiedział:

– Proszę.

Wchodziliśmy do mojego drugiego mieszkania. Dostałam je od brata, kiedy już na stałe osiedlił się w Nowej Zelandii. Wynajmuję to mieszkanie studentom, konkretnie dwóm sympatycznym dziewczynom – Ping i Shuai, studiującym u nas ochronę środowiska w ramach wymiany międzyuniwersyteckiej.

– Czuję, że jako pierwsze danie wjedzie kaczka po pekińsku – rozmarzył się Bartek, gdy szliśmy schodami. – Już leci mi ślinka.

– Nie zaproszono nas na przyjęcie do chińskiej ambasady, to tylko studencki obiad. I nie śliń się – powiedziałam żartobliwie. – Przecież nie przedstawię im zaślinionego faceta.

Bartek nie znał jeszcze moich Chinek, do tej pory wpadałam do nich sama. Dziś miała odbyć się bardziej oficjalna wizyta, nieśliśmy ze sobą prezenty: butelkę wina oraz wielką, pluszową pandę dorównującą rozmiarami swoim prawdziwym siostram.

Ping i Shuai, uśmiechnięte, czekały na nas w otwartych drzwiach.

– Anja! Pan Bartek! Proszę, proszę!

Chwilę potem siedzieliśmy już przy kuchennym stole. Panda przestała być bezimienną zabawką ze sklepu, dziewczyny nazwały ją Bai Yun (Biała Chmurka) i posadziły na piątym krześle. Zapowiadała się międzynarodowa i międzygatunkowa impreza.

Przed nami, wokół ustawionego na elektrycznym podgrzewaczu kociołka, stało mnóstwo miseczek. W każdej coś innego: krewetki, grube plastry ziemniaków, marchew, kawałeczki mięsa, kostki tofu oraz inne, trudne do zidentyfikowania, dary boże.

Bartek z takim samym jak ja zainteresowaniem oglądał stół. Wiedziałam, że cieszy go liczba miseczek, lecz martwią ich niewielkie rozmiary. Lubił dobrze zjeść. I dużo.

– Ja nie myślę tylko o jedzenie, ale lubię gotować typikal potraw. Taka przyjemność, a też bardzo dobry okazja kontaktować z państwem – szczebiotała Ping, rozpoczynając małe misterium.

Do gorącej wody w kociołku wrzucała przywiezione z Chin przyprawy i z namaszczeniem wymieniała skomplikowane nazwy. Gdy całą kuchnię wypełniły ostre, egzotyczne zapachy, mogliśmy przystąpić do uczyty. To nie było zwykłe pochłanianie pokarmu. Pałeczkami chwytano się wybrany kąsek i na kilka minut zanurzało w kociołku. Później wyłowiony gorący przysmak polewało się olejem sezamowym i chaps – nareszcie do buzi.

Ja najczęściej sięgałam po suszone grzyby *shitake*. Miały smak nafaszerowanych pieprzem prawdziwków skrzyżowanych z bardzo pikantną śliwką. Bartek skoncentrował się na jagnięcinie, ponieważ rośliny i owoce morza interesowały go w stopniu minimalnym. Zwrócił jednak uwagę na małe beżowe kokardki wypełniające jedną z miseczek.

– To jakieś chińskie motylki? – zapytał.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, natychmiast ostrzegawczo kopnęłam go w nogę.

– Motylki podamy następną wizytą, teraz jest skóra z tofu – wyjaśniła Ping i mrugając do mnie okiem, dodała: – A ty, Anja, nie kop! Nie trzeba. Chińczycy jedzą wszystko, co ma cztery nogi, oprócz stół.

Uśmiechnęłam się przepaszająco, lecz nie chciałam rozwijać śliskiego tematu. Szybko poszukałam innego. Zaczęliśmy rozmawiać o pandach.

Shuai pracowała kiedyś jako wolontariuszka w słynnym instytucie hodowli pand w Chengdu i lubiła o nich opowiadać. Pokazała nam zdjęcia, na których przytula malutkie, bezmienne pandziątka. Bezmienne, bo zgodnie ze zwyczajem panda dostaje imię dopiero po stu dniach życia. Ciekawe było też to, że prawie wszystkie młode przychodzą na świat dzięki metodzie in vitro.

– Nie lepiej, żeby rozmnażały się normalnie? – spytałam.

– Lepiej, ale co robić, jak one nie chcą... mieć seks.

Z niewiadomej przyczyny wszyscy spojrzeliśmy na towarzyszącą nam przy stole pandę.

– Dlaczego nie chcą... mieć? – zainteresował się Bartek.

– Leniwe są. Aristokratyczne. Zamiast mieć seks, tylko lekko klepią po głowie – wyjaśniła Shuai, demonstrując omawianą czynność na zabawce. – O tak!

Bartek patrzył ze zdziwieniem, potem nachylił się w stronę pluszowego zwierzaka i poklepując go między uszami, powtarzał:

– Leniuszek, leniuszek...

Biała Chmurka nie odwzajemniła pieszczoty, lecz widać było, że sprawia jej to przyjemność. Klepanie pandy stało się motywem przewodnim całej wizyty. Co chwila ktoś przemawiał do niej przyjaźnie i klepał po głowie.

Kiedy w naszej krwi płynęło więcej chili niż czerwonych krwinek, nadszedł czas na deser, właściwie dwa desery – polski oraz chiński. Polskim były truskawki z bitą śmietaną (kolory!), chińskim – ciasteczka z wróżbą. Poznaliśmy swoją przyszłość.

Bartka czekała „DUŻO MAŁA RADOŚĆ”, mnie – „DALEKA PODRÓŻ W POBLISKIE MIEJSCE”. Z powodu niedociągnięć językowych wróżby brzmiały trochę dziwnie, lecz poza tym nie było w nich nic ciekawego. Mimo to nasze Chin-

ki świetnie się bawiły, udając, że wierzą w ciasteczkowe prze-
powiednie.

– Anja, przyslij wiadomość od komórki, jak będzie podróż
– poprosiła mnie Ping przy pożegnaniu. – To musi być do Ty-
bet, spróbujesz herbata z masło jaka.

W nocy śniła mi się herbata, w której pływały kawałki ma-
sła z mleka jaka. Nie polecam.



Obudziłam się szesnaście po ósmej. Zawsze wiem, o której
się budzę, bo na wprost łóżka stoi duży zegar. Ufam mu.

Raz w tygodniu otwieram oszklone drzwiczki (trzeba pod-
nieść taki śmieszny, podobny do znaku zapytania haczyk)
i ciągnę łańcuchy, na których zawieszono są walcowate ob-
ciążniki. Obciążniki podjeżdżają do góry, a ja czuję, że zegar
oddycha z ulgą. Znow ma siłę, by liczyć godziny swoim bim-
-bam, bim-bam.

Patrę wtedy na zaśniedziałą cyferblat i mówię:

– Widzisz, pamiętam o tobie, wszystko jest dobrze. Tylko,
proszę, nie zepsuj się! Nie znam zegarmistrza, który umiałby
cię naprawić.

Zegar słucha mnie jak mądry pies, potakuje wahadłem i wie,
że niedługo znow otworzę jego drzwiczki.

Teraz o centymetr przesunął dłuższą wskazówkę – zrobiło
się siedemnaście po ósmej. Uznałam, że nie zaszkodzi mi do-
datkowa godzinka snu, ale za późno zamknęłam oczy.

W drzwiach sypialni pojawił się Bartek.

– Dzień dobry. Kawa już stygnie – powiedział, uśmiechając
się od ucha do ucha.

Ten krótki komunikat zawierał dwie wiadomości: dobrą
i złą.

Dobra – zrobił mi kawę.

Zła – ledwo otworzyłam oczy, już byłam spóźniona!

Bartek nazywa się Pospieszny. Niby zwykłe nazwisko, lecz dla mnie brzmiało jak królewski przydomek. Król Ryszard Lwie Serce był odważny jak lew, król Bolesław Wstydlivy złożył śluby czystości i nie skonsumował swojego małżeństwa, a mój Bartłomiej Pospieszny nawet w niedzielę nie mógł zwolnić tempa.

– Przynieś mi ją do łóżka – poprosiłam. – I pączka.

– Mowy nie ma! Wstawaj, szkoda takiej pogody. Nie będziemy gnili w czterech ścianach.

Prawdę mówiąc, miałam ochotę właśnie na to gnicie.

– Bartek, a może zostaniemy dzisiaj w domu? Ugotujemy sobie pomidorówkę z ryżem, pogramy w scrabble...

– Jasne, do wieczora zdążymy wydziergać kilka serwetek i zacerujemy wszystkie dziury w skarpetkach – potakiwał, podchodząc do łóżka.

Po oczach widziałam, że ma złe zamiary. Najpierw ściągnął na podłogę koldrę, potem ściągnął – niestety – mnie! Nasza wspólna niedziela została uroczyście rozpoczęta.

Włożyłam szlafrok i zaczęłam nadrabiać spóźnienie. (Już osiemnaście po ósmej!)

Na kuchennym stole stała filiżanka z gorącą kawą, w piekarniku podgrzewał się pączek. Bartek wie, że takim zestawem otwieram każdy dzień. Z pączkiem w ręce usiadłam na parapecie i bosą stopą wystukiwałam rytm piosenki, którą elektryk Pospieszny podśpiewywał sobie przy goleniu.

Jeszcze nie tak dawno w tej samej łazience koncertował mój ojciec. Pogwizdując, ostrzył brzytwę na skórzanym pasku, później namydlał twarz i pełnym głosem zaczynał śpiewać coś z repertuaru Kiepury, najczęściej: *Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki...* Teraz łazienka mogła posłuchać

o tym, co się działo *U cioci na imieninach*. Chętnie wybrałabym się na imieniny do cioci, lecz to niemożliwe. Wszystkie moje ciotki od dawna nie żyją.

Zaraz po śniadaniu pojechaliśmy do lasu w Suchatówce. Wystarczyło wysiąść z samochodu i zrobić parę kroków, by otoczył nas inny świat. Gdzieś wysoko dzięcioły pukały w drzewa, pachniało porankiem, było ciepło i spokojnie. Bartek dobrze zrobił, wyciągając mnie z domu w taki piękny dzień. Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

– Zadowolona?

– Uhm.

– No, to lecę – powiedział i... poleciał.

Nasze wypady do lasu tak właśnie wyglądały: on biegał, ja chodziłam. Nie lubię pocić się bez powodu, ale nie przeszkadza mi, gdy inni to robią. Dla bezpieczeństwa już dawno opracowaliśmy metodę koperty. Polegało to na tym, że Bartek biegał wzdłuż brzegów i przekątnych wielkiej koperty, której środek był zawsze tam, gdzie ja.

Przez pół godziny łąziłam między drzewami, przypatrując się wszystkiemu, co spotkałam na drodze, ponieważ cała przyjemność spaceru polega na uważnym oglądaniu. Zwykłe rzeczy, takie jak kęпка mchu, kora albo ptasie piórko, stają się wtedy niezwykle.

Na przykład te dwa błyszczące, szmaragdowe żuki. Usiadłam pod sosną i przyglądałam się im, jakbym pierwszy raz w życiu widziała owady. Jeden stał nieruchomo, drugi zabawnie poruszał główką. Podobne były do starych, niemodnych broszek, które jednak dobrze mieć w szufladzie, gdyż każdy jubiler doceni wartość szlachetnych kamieni i platyny.

W tym momencie dobiegł do mnie Bartek.

– Co robisz? – zapytał zdyszczanym głosem.

– Oglądam biżuterię. Kupisz mi te dwie zielone broszki?

Popatrzył na żuki, stuknął się palcem w czoło i poleciał dalej. Mój Pospieszny.

Spędziliśmy w lesie kilka godzin. Było tak przyjemnie, że nie chciało się wracać do domu. W dodatku rozpoczął się już sezon na kurki. Nie planowaliśmy grzybobrania, ale jak las daje, to trzeba brać! Poza tym to wielka frajda, gdy samemu znajduje się taki obiad – bezpłatny, bezkrwawy i bez konserwantów.

Kiedy nareszcie wróciliśmy do domu, minęło już pół niedzieli. W planie był jeszcze bluesowy koncert, na który mieliśmy pojechać do Od Nowy, ale to dopiero wieczorem. Całe popołudnie spędziliśmy w domu. Bardzo miło spędziliśmy, choć mało „aristokratycznie”. Bartek nie miał ochoty na klepanie mnie po głowie i z tego powodu spóźniliśmy się na występ zespołu Dżem. Nie samym Dżemem człowiek żyje.

O dziesiątej wieczorem zostałam odwieziona pod dom, a mój luby pojechał do siebie. Weszłam do mieszkania, zdjęłam buty i od razu poczułam, że stało się coś złego.

Miałam mokre nogi! Podłoga w przedpokoju była zalana wodą przelewającą się przez kuchenny próg. Szybko odkryłam przyczynę nieszczęścia: pękł wąż łączący pralkę z kranem, a ja po ostatnim praniu zapomniałam zakręcić zawór. Błyskawicznie odcięłam dopływ wody do pralki, ciesząc się równocześnie, że mieszkam na parterze i nikogo oprócz siebie nie zalałam. Więcej powodów do radości nie było.

W pierwszym odruchu chwyciłam telefon, by dzwonić po Bartka, jednak po zastanowieniu zlitowałam się nad nim. W poniedziałek od rana musi być w pracy, niech się wyśpi. Byłam dumna ze swojej wielkoduszności, ale... Nie ma co ukrywać – czasem lepiej mieszkać razem. Przydałaby się teraz druga para rąk.

Zacząłam działać. Na początek włożyłam kalosze i zajęłam się kolacją. Potop, nie potop, jeść trzeba. Zazwyczaj nie kręcę się po domu w kaloszach, ale kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Dojadłam kawałek wędzonej makreli, gdy zadzwonił telefon.

– Jestem już w domu – zameldował Bartek. – A ty? Co robisz?

– Ryby sobie łowię.

– Nie złapałem żartu.

– To nie żart, siedzę na krześle w kaloszach, bo dookoła płytkie rozlewisko.

– Co się stało? Zalali cię?

– Nie. Sama się zalałam – odpowiedziałam smętnym głosem i wytłumaczyłam mu resztę.

Przez chwilę milczał.

– Poradzisz sobie sama? – zapytał.

– Poradzę sobie. Sama.

– To trzymaj się. Jutro rano zadzwonię. Pa, Anuś.

– Pa.

Nie posiadam żadnej pompy, przyniosłam więc wiadro, szmatę i padłam na kolana. Zbieranie wody trwało bardzo długo, ale i tak gorszą sprawą było przesuwanie kuchennych mebli.

Gdy wreszcie mieszkanie zostało doprowadzone do pierwotnego, suchego stanu, zegar w sypialni wybijał północ. Mogłam udać się (a raczej dowlec się) na spoczynek. Całe szczęście, że wykonuję wolny zawód i sama daję sobie urlop. Zасыpiając, postanowiłam przeznaczyć nadchodzący dzień na leniuchowanie.



Nie ma to jak zdrowy, mocny sen. Poniedziałek przywitałam nieskomplikowaną oraz nieuzasadnioną myślą, że świat jest piękny, ludzie dobrzy, a słońce nigdy nie zgaśnie. Nastrój

trochę mi się zmienił, gdy spojrzałam na kalendarz: dwudziesty siódmy czerwca 2011 roku. Za miesiąc skończę czterdzieści dwa lata. Żaden dramat, ale też nic śmiesznego.

Aby poprawić sobie humor, wybrałam się na zakupy, po przedurodzinowy prezent. Godzinę później wróciłam do domu z nową sukienką. Była dobrze dopasowana, miała wąskie, czarne ramiączka i czarną falbankę u dołu, a cały środek wypełniała barwna pstrokaczna z przewagą czerwieni. W takiej sukience można poczuć się młodo!

Przed jedenastą zadzwonił Bartek, na wstępie zapytał, czy u mnie sucho, potem dowiedziałam się, że mają poważny problem z jakimś generatorem, który wypadł z gondoli (albo odwrotnie).

– Anka, zaraz wyjeżdżam, wrócę dopiero w niedzielę, więc weekend na Mazurach nieaktualny. Przepraszam cię, Anuś, pojedziemy w następnym tygodniu. Wieczorem zadzwonię. Aha, sprawdź pocztę, coś tam masz w skrzynce. Cześć.

Włączyłam komputer i otworzyłam maila od Bartka. Przyśłał mi zdjęcie, które zrobiliśmy sobie dwa lata temu w Zagnańsku pod Kielcami. Pojechaliśmy tam, bo Bartek chciał zobaczyć Bartka. Na fotografii stoimy przy ogrodzeniu otaczającym słynny, prastary dąb – zwykła fotka z wakacji. Ale teraz w prawym rogu zdjęcia pojawił się napis:

„Za tysiąc lat też będę przy Tobie. Bartek”.

Uśmiechnęłam się do ekranu monitora, Bartek wiedział, jak osłodzić mi swoją nieobecność.

Cóż, przede mną morze wolnego czasu. Postanowiłam, że dzisiaj oddam się wspomnieniom.

Wyjęłam z szafy pudełko po butach pełne starych, dawno nieoglądanych fotografii. Rozsiadłam się na dywanie i powo-

li, jedno po drugim, brałam do ręki zdjęcia pochodzące z czasów, kiedy nie było mnie jeszcze na świecie. Każde oglądałam z dwóch stron. Czasem na odwrocie znajdowałam obszerny komentarz, czasem tylko krótki zapisek w stylu: „1968, Janek z Boyem” (Nie był to Żeleński, lecz ukochany wyżeł). Delikatnie przesuwałam palcami po ząbkowanych brzegach fotografii i nagle moja tęsknota zamieniła się w odwieczny bunt. Dlaczego mogę oglądać ukochane twarze jedynie w kolorze sfatygowanej sepii?

Musiałam zapalić, jak zawsze w chwili zdenerwowania. Poszłam do łazienki. Palę tylko tam, aby się ograniczać, choć na razie ze średnim skutkiem. Stałam przy lustrze i zamknęłam oczy. W wyobraźni zobaczyłam jedno ze zdjęć – kawałek płotu, ogród i dom. I Babcia. Czterdziestoletnia kobieta w jasnej sukience, lubię to zdjęcie.

Zamrugałam powiekami, bo Babcia nagle odwróciła się i poszła w głąb ogrodu. Mózg płata mi figła, takie fotografie z poruszającymi się postaciami widzi Harry Potter, nie ja.

Na dobre otworzyłam oczy i rozejrzałam się wokół, by przędźko wrócić do łazienki. Łazienki brak!

Stoję wśród modrzewi, za płotem dawno nieistniejący dom mojej Babcia. Jestem w Nałęczowie, wystarczy otworzyć furtkę i wejść.

Oparłam się mocno o pień drzewa, wyrównałam oddech i aby nie mącić rozumu, patrzyłam tylko w dół, na trawę.

Bardzo chciałam oprzytomnieć.

I oprzytomniałam.

Jestem w łazience. Odżywka do włosów stoi obok szamponu. Jest okej. Chwilowa halucynacja minęła. Tylko co tak ścisgam w dłoni?

Listek babki? Jezu!

Delikatnie położyłam listek na półce i niepewnym krokiem wyszłam z łazienki. Musiałam sprawdzić, czy w mieszkaniu nie podnosi się sufit, a podłoga nie porasta mchem. Ale nie. Wszystko wyglądało normalnie. Włączyłam radio i spojrzałam na obrazek, który od lat wisi w mojej kuchni: czerwona papuga siedziała, jak zwykle, w ramkach za szybką; nic nie wskazywało na to, że zaraz zacznie fruwać po pokojach. Napiłam się wody i z nadzieją wróciłam do łazienki.

Niedobrze!

Leży jak leżał. Listek. Zielona blaszka i nerwy. NERWY! Spokojnie, nic mi nie wiadomo o przypadkach schizofrenii w mojej rodzinie. Oglądałam kiedyś *Piękny umysł* z Russellem Crowe'em, lecz tu chodzi tylko o jeden marny listek.

Z drugiej strony... To niesamowite – być tam tak realnie. Dotykając kory, czułam pod palcami jej fakturę. Może spróbować jeszcze raz? Dlaczego mam rezygnować z marzenia, które samo prosi się o spełnienie? Szamotałam się jak przed zapaleniem każdego następnego papierosa. Wiadomo, że grozi chorobą, ale ciągnie.

Trzeba walczyć z pokusami!

Spojrzałam na biurko, leżała tam plastikowa teczka z bardzo nudną umową o współpracy handlowej między przedsiębiorstwem P.H.W. Drambis a firmą Rinnsal Kassel GmbH.

Mój tata zarabiał na chleb, sprzedając ciastka, ja zamieniam polskie teksty na niemieckie albo odwrotnie. Za to mi płać. Określona liczba łożysk tocznych miała być dostarczona w określonym terminie do określonego kontrahenta. „W wypadku niespełnienia któregokolwiek z powyższych wymogów, wymienionych w niniejszym paragrafie, występuje przesłanka odmowy przyjęcia zlecenia bez możliwości dochodzenia...”

Koszmar! Miałam zamiar ślezczyć nad tymi papierami dopiero jutro, ale lepiej już teraz zainteresować się losem łożysk tocznych, niż myśleć o leżącym w łazience listku.

Siadłam przy biurku, perfekcyjnie przetłumaczyłam pierwszy paragraf, następnie włożyłam umowę do plastikowej teczki, teczkę do szuflady, a szufladę zamknęłam na klucz.

Potem zerwałam się od biurka i pobiegłam do drugiego pokoju.

Wśród rozrzuconych na dywanie zdjęć znalazłam to najważniejsze. Na odwrocie ktoś starannie wykaligrafował atramentem cztery cyfry: 1932.

Hmm... W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim Babcia miała czterdzieści lat, moja mama dziesięć. Dziadka już nie było, umarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym.

Popatrzyłam jeszcze raz na zdjęcie. Tak, chcę tam być, choć na chwilę. Nikt nie musi wiedzieć, że dzieje się ze mną coś szczególnego, nie mam zamiaru wzbudzać współczucia... a może zazdrości.

Jakiej zazdrości? Nikt nie zazdrości wariatom, że są wariatami.

Spokojnie, nie jestem wariatką, jestem zdrowa. Chwilowo tylko niedomagam, ale poradzę sobie z tym. Najważniejsze – nie zbliżać się do łazienki. W ostateczności mogę sprzedać mieszkanie, kupić inne albo wprowadzić się do Bartka.

Sprzedać mieszkanie? Co ja bredzę? To mieszkanie jest w rodzinie ponad sto lat. Jedno małe urojenie nie wykurzy mnie stąd! A następnego urojenia nie będzie. Nie-będzie!

Poszłam do sypialni, położyłam się na łóżku i patrząc w sufit, gładko wyrecytowałam tabliczkę mnożenia. Pomyliłam się tylko przy 7 razy 8, ale z tym zawsze mam problem. Monotonne wypowiedanie liczb dobrze mi zrobiło. Rozluź-

niona, zaczęłam wymieniać tytuły ulubionych filmów, nazwy banków, daty urodzin moich przyjaciółek i numery telefonów alarmowych.

Po kwadransie takiej terapii miałam stuprocentową pewność, że jestem zdrową, normalną kobietą.

Co z tego? Równocześnie miałam taką samą pewność, że byłam dziś w Nałęczowie i widziałam swoją Babcie, która umarła dwadzieścia sześć lat temu. Porażka.

A może nie?

Może da się pogodzić jedno z drugim? Są takie rzeczy w niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom – na przykład mój listek babki. Może to przepustka?

W tym momencie podjęłam decyzję. Wstałam z łóżka, podeszłam do zegara, otworzyłam jego oszklone drzwiczki i powiedziałam:

– Idę do łazienki, słyszysz? Idę!

Miarowo kołysał wahadłem. Uspokajająco i jakby zachęcająco.

Wiedziałam już, co robić.

Pierwsza sprawa – odpowiednio się ubrać, przeistoczyć w kobietę z lat trzydziestych, bo chyba nie będę tam niewidzialna. Przejrzałam całą zawartość szafy. Dżinsy i kuse spódniczki – odpadają. Nie mam żadnych bluzek retro z falbankami, ale mam pieniądze. Wystarczająco nieduże, kupię jakieś używane rzeczy. To nawet lepiej.



W pobliskim Tanim Ciuszku miałam sporo zabawy. Wszystkie części garderoby przeglądałam pod kątem epoki, pamiętając, że tkaniny muszą być naturalne. W końcu wybrałam bezbarwny strój: czarna spódnica dobrze za kolana,

biała bluzka obficie zdobiona szczypankami, szarawy sweter zapinany z przodu na guziki.

W domu przed lustrem zrobiłam próbę generalną.

Ubranie? Chyba może być.

Teraz obuwie. Moje czarne czółenka mają pasek na podbiciu, przypominają buty bohaterek *Kariery Nikodema Dyzny*. Wkładam.

Przez chwilę myślałam o bieliźnie, ale bez przesady. Pozostają w swojej.

Lustro nie było przyjazne, wyglądałam starzej. Zaraz! Będzie gorzej, muszę zrobić coś z fryzurą. Mam proste włosy do ramion. W latach trzydziestych panie w wieku – powiedzmy – nieokreślonym, tak się nie nosiły. Chwyciłam frotkę... Nie, odpada, frotek wtedy nie było.

Za pomocą gumki recepturki z kuchennej szuflady i paru spinek łatwo dokonałam samooszczędzenia. Pozostało zmycie makijażu i lakieru z paznokci.

Krytycznym okiem zmierzyłam całość. Miało wypaść nobliwie, wypadło aseksualnie. Na pocięgę przypięłam do bluzki starą kameę. Wiele nie pomogła.

Bębniłam palcami o blat toaletki i... wyębniłam! Mam przecież popielaty kapelusz, który dostałam na urodziny. Trzeba tylko odpruć kółko z czterdziestką w czerwonej obwódce – miniaturę znaku drogowego.

Tak, wreszcie nabrałam charakteru. Zawsze było mi dobrze w kapeluszach, choć nigdy ich nie nosiłam. Na koniec uzbroiłam się jeszcze w sylwestrową kopertówkę i w stary, tykający zegarek (moja pamiątka z wyższej półki, złota delbana odziedziczona po siostrze ojca, cioci Marysi).

Zdawałam sobie sprawę, że jestem marną imitacją. Cóż z tego? Przecież nigdzie nie wychodzę. Wymyśliłam ekscentrycz-

ną zabawę z listkiem babki w roli głównej. A może to nie jest zabawa?

Spojrzałam w kierunku łaźienki. Zaraz się dowiem. Poloneza czas...



Czuję balsamiczne powietrze, rozglądam się – są modrzewie, jest płot. Drogą zbliża się mężczyzna w granatowej marynarce. Mijając mnie, grzecznie uchylił kapelusza. Odkłoniłam się odruchowo i natychmiast ogarnęła mnie panika.

No to mam zwidy.

Po całosci – jak mawiają niektórzy.

No to idę na całość!

Byłam zdeterminowana. Obojętnie, czy wchodzę w rolę, czy wchodzę w obłąd. Wchodzę.

Popchnęłam furtkę i znalazłam się w ogrodzie.

– Dzień dobry! – zawołałam odważnie.

Cisza. Nerwowo ścisnęłam swoją idiotyczną torebkę *made in China*.

– Dzień dobry – powtórzyłam głośniej.

Zza węgła wyszła moja Babcia. Taką młodą znałam tylko z fotografii. Gdy się urodziłam, miała siedemdziesiąt siedem lat. Nie wiem, co bym dała, żeby móc ją przytulić. Stałam ze ściśniętym gardłem i patrzyłam, jak się zbliża.

– Szukam pokoju – zdołałam wykrztusić dwa słowa.

– Chce pani u mnie wynająć? – spytała z naturalnym zainteresowaniem.

Nie było wątpliwości, widziała mnie pierwszy raz w życiu.

– Tak, szukam pokoju – powtórzyłam jak mantrę, mój mózg przypominał pusty zamrażalnik lodówki.

– To proszę do środka. Zobaczysz pani, czy pokój się spodoba.

Weszliśmy do domu, który znam. Przez szesnaście lat przyjeżdżałam tu na wszystkie wakacje, dopóki ona... była.

Frontowe drzwi, korytarz, a po lewej wejście do dużego pokoju. W trzech oknach wiszą zazdrostki, na parapetach pelargonie. Białe i różowe. Okrągły stół z giętymi krzesłami, szafa, mała kozetka, metalowe łóżko. Jest schludnie i bardzo skromnie.

Babcia stała obok mnie, cierpliwie czekając, aż zakończę lustrację. Zdobyłam się na swobodny uśmiech i dokonałam autoprezentacji.

– Nazywam się Anna Duszkowska, przyjechałam z Torunia, żeby tu odpocząć. Pierwszy raz jestem w Nałęczowie. To jeżeli można, wynajmę ten pokój na miesiąc.

– Dobrze. Ja jestem Zofia Leśniak. Czy będzie pani mieszkała sama?

– Sama.

– A wyżywienie?

– Chciałabym umówić się na pokój z wyżywieniem.

Babcia kiwnęła głową. Zorientowałam się, że czas przejść do rozmowy o pieniądzach.

– A ile życzy sobie pani za miesiąc?

– Z wyżywieniem sześćdziesiąt złotych.

Skwapliwie przystałam na taką kwotę. Umówiliśmy się jeszcze, że gdy tylko odbiorę bagaż, to zaraz się wprowadzam. Byłam zachwycona, że poszło tak gładko.

Już podchodziłam do furtki, gdy nagle przyszedł mi do głowy prosty pomysł, by upewnić się który to rok. Odwróciłam się i zapytałam bezceremonialnie:

– Czy mogę wiedzieć, ile pani ma lat?

– Czterdzieści – odpowiedziała zdziwiona.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze
Ecco Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
MAP

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka, Anna Słowik*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Bogumiła Widla*
Korekta *Magdalena Szroeder, Joanna Morawska, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12384-8

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków